

Aleksander MAŁACHOWSKI

## KOŚCIÓŁ NAJUBOŻSZYCH

*W cierpieniu ludzkim nie ma perspektywy innej nagrody niż wyniesienie przez dotkniętego bólem człowieka – możliwie najwyżej – godności człowieczeństwa, męstwa odwagi. Nic więcej. Nic.*

Już ponad dwa lata, wprawdzie w roku 1981 i teraz w 1988, zajmuję się niejako zawodowo ludzkim cierpieniem w sposób dosyć szczególny, poprzez rozmowę. Mówię i otrzymuję listy. Wiele listów. Tysiące. Mówię o cierpieniu w radiu i telewizji. Pewne moje programy mają wielką widownię. „Telewizję nocą” ogląda jednorazowo od dziesięciu do siedemnastu milionów widzów.

Nie byłem nigdy wyuczonym znawcą cierpienia. Jestem z zawodu pisarzem i wiem tyle, ile nauczyło mnie życie. Byłem więziony, torturowany i poniżany wiele razy od piętnastego roku życia aż po niedawne aresztowanie. Zawsze jako więzień polityczny, słusznie podejrzany. To ułatwia przetrwanie. I jeszcze to, że w mojej rodzinie wydarzyły się straszne nieszczęścia. Niespotykaną odwagę noszenia losu człowieka autentycznie przybitego do krzyża znam nie z cudzych opowiadań.

Większość tego, co napisano o cierpieniu – od starożytności aż po dzień ostatni – ma charakter konsolacyjny, winno służyć pocieszeniu cierpiących, przekonać o przemijaniu bólu. Nawet Księga Hioba – a jego los to symbol grozy – zawiera szczęśliwe zakończenie. Moimi „szczególnie umiłowanymi” są jednak ludzie skazani na cierpienie nie ustające wcześniej niż w chwili śmierci, ludzie, których nie można pocieszyć przemijalnością bólu, jak u Hioba. Tych „moich” Jahwe nie pobłogosławi tak, by znowu mieli „czternaście tysięcy owiec, sześć tysięcy wielbłądów, tysiąc jarzm wołów i tysiąc oślic” (Hi 42, 12). I już nigdy nie urodzi się im siedmiu synów i trzy córki, z których pierwszą mogliby nazwać gołębicą, drugą Kasją, a trzecią Rogiem Antymonu. Przeznaczeniem „moich” jest trwanie w cierpieniu aż po kres, czyli śmierć. Nie można ich pocieszyć. Muszą trwać w bólu. Wszystkie słowa są bezradne. Wszystkie leki są bezradne, prócz uśmierzających narkotyków. Zostaje lęk i cierpliwość. Niektórzy jej nie mają. Zbyt cierpią. Mówi się o nich, że są potworni i często czeka się na ich śmierć. Oni zaś mówią o zdrowych, że są potworni i bez miłosierdzia, i też czekają

na zgon. Na własną śmierć. I jeszcze ważne jest to, że wielu z nich nie wierzy w Boga.

W lecie 1983 roku franciszkanka z Lasek przyrzekła mi lek na odleżyny dla mojej umierającej kuzynki. Zakonnica ta od lat była poważnie chora, słynęła jednak z niezwyklej dzielności w pokonywaniu swego cierpienia. Wróciłem właśnie z więzienia i siostra była ciekawa mych przeżyć. Rozgadaliśmy się. Wyznała mi, że była już nadzieja na jej całkowite i bliskie wyleczenie, ale Bóg widocznie chciał, by nadal musiała znosić gorzkie chwile. Wypowiedziała te słowa tak zwyczajnie i prosto, jakby mówiła, że właśnie pada deszcz i jakby zupełnie bez świadomości, że wygłasza kluczowe zdanie dla chrześcijańskiego stosunku do cierpienia: „Bóg tak chciał”!

Czy ktokolwiek z niewierzących potrafiłby z taką pogodną prostotą wyjaśnić genezę swego bólu?

Przez cały rok 1981, wśród rozlicznych zajęć związanych z „Solidarnością”, mówiłem przez radio do chorych jako Radiowy Przyjaciel. Staralem się znaleźć odpowiedź na pytanie o świecki sens cierpienia, bo adresowałem moje cotygodniowe pogadanki do niewierzących. Mówiono mi nieraz, że prowadzę rekolekcje dla ateistów. Trzy lata później Jan Paweł II ogłosił List apostolski *Salvifici doloris... o chrześcijańskim sensie ludzkiego cierpienia*.

Porównałem moje notatki do radiowych rozmów z chorymi ze słowami Papieża. Nie znalazłem istotniejszych różnic, prócz tej jednej, dość zasadniczej, dotyczącej sensu cierpienia.

Swym katolickim uczniom Papież powiada słowami zaczerpniętymi z nauki Chrystusa: „«Pójdź za Mną!» Pójdź! Weź udział swoim cierpieniem w tym zbawieniu świata, które dokonuje się przez moje cierpienie! Przez mój Krzyż. W miarę jak człowiek bierze swój krzyż, łącząc się duchowo z Krzyżem Chrystusa, odsłania się przed nim zbawczy sens cierpienia. Człowiek nie odnajduje tego sensu na swoim ludzkim poziomie, ale na poziomie cierpienia Chrystusa. Równocześnie jednak z tego Chrystusowego poziomu ów zbawczy sens cierpienia zstępuje na poziom człowieka i staje się poniekąd wyrazem jego własnej odpowiedzi. Wówczas też człowiek odnajduje w swoim cierpieniu pokój wewnętrzny, a nawet duchową radość” (VI, 26).

I dalej jeszcze Papież mówi tak: „[...] Kościół upatruje we wszystkich cierpiących braciach i siostrach Chrystusa jakby wieloraki podmiot swojej nadprzyrodzonej siły. Jakże często do nich właśnie odwołują się pasterze Kościoła, u nich właśnie szukają pomocy i oparcia! Ewangelia cierpienia pisze się nieustannie i nieustannie przemawia słowem tego przedziwnego paradoksu: źródła mocy Bożej biją właśnie z pośrodku ludzkiej słabości. Uczestnicy cierpienia Chrystusa przechowują w swoich własnych cierpieniach najszczególniejszą część nieskończonego skarbu Odkupienia świata, i tym

skarbem mogą się dzielić z innymi. Im bardziej człowiek jest zagrożony grzechem, im cięższe struktury grzechu dźwiga w sobie współczesny świat, tym większą wymowę posiada w sobie ludzkie cierpienie. I tym bardziej Kościół czuje potrzebę odwoływania się do ludzkich cierpień dla ocalenia świata” (VI, 27).

Nie sądzę, by w całej literaturze świeckiej, jaka tylko mogłaby być przywoływana na pomoc cierpiącemu człowiekowi, udało się odnaleźć sformułowania o tak wielkiej wzniosłości, o takiej dostojności słów i myśli jak te przytoczone fragmenty Listu apostoelskiego. Wielkość tych słów polega także i na tym, że pogłębiają one dość powszechnie przyjęte w umysłach ludzi wierzących przekonanie nakazujące traktować cierpienie jako zasługę na rzecz przyszłej wiecznej szczęśliwości, która ma być nagrodą za to, co tu było na ziemi.

Obszerne cytaty z Listu apostoelskiego zagłuszyły przypomnianą na początku poprzedniego akapitu różnicę pomiędzy moim a papieskim ujęciem sensu cierpienia. Co do zgodności naszych myśli sprawa jest jasna. Wycho- wano mnie w benedyktyńskim klasztorze, a ponadto w naszym śródziemno- morskim kręgu cywilizacyjnym nie mogą zaistnieć zbyt wielkie różnice w pojęciach etycznych. W egipskiej *Księdze umarłych* wśród tekstów starszych od Biblii jest niezwykle dokument, coś jakby rachunek sumienia, jakiego dusza zmarłego musiała dokonać na sądzie Ozyrysa. Jest on identyczny w treści etycznej z Dekalogiem. Te same wątki myśli etycznej znajdujemy u „starych Greków”. Wszyscy jesteśmy tak samo ukształtowani moralnie, na pewne impulsy odzywają się w nas takie same dźwięki, ale tylko do pewnej granicy. Na słowa o zbawczym sensie cierpienia Chrystusa niewierzący odpowiadają w najlepszym razie pełnym szacunku milczeniem. Ich myśl nie przenika zasłony śmierci, ich oczy nie dostrzegają raj, geniusz pesymistycznego zwątpienia – Kohelet, jest im bliższy od Apostołów, ta zaś ich rozpacz jest z kolei mnie najbliższa. Nazywam ich – może nieco świętokradczo – „moimi szczególnie umiłowanymi”.

Pan Wojciech Chudy, zastępca naczelnego redaktora „Ethosu”, zaprosił mnie do współpracy z pismem bardzo pięknym listem: „Upatrujemy – napisał – w każdym człowieku wnuka Hioba. [...] chcemy mówić w „Ethosie” o najprostszych relacjach międzyludzkich łączących ludzi w Kościół ubogich, a także o niegodziwościach niszczących ten Kościół”.

Rzecz jednak w tym, że „moi” nie są wnukami Hioba. Nie mają już nadziei ani tu, ani tam... potem, na wieczność. Mają tylko swoje doczesne cierpienie i trzeba temu cierpieniu odnaleźć sens doczesny. Ci „moi” pozbawieni nadziei Zbawienia tworzą, wraz ze swym cierpieniem, Kościół uboższy niż Kościół ubogich, nazwijmy go zatem Kościołem najuboższych.

Wróćmy do słów papieża Jana Pawła II. Szukajmy zdań, które mogłyby dotyczyć obu Kościołów. Są takie: „przypowieść o ewangelicznym Sa-

marytaninie stała się jednym z istotnych składników ogólnoludzkiej kultury moralnej i cywilizacji” (VII, 29).

Nieco wcześniej jest zdanie urzekające swą poetycką formą i arcyłudzką mądrością: „Idąc za ewangeliczną przypowieścią, można by powiedzieć, że cierpienie, które pod tylu różnymi postaciami obecne jest w naszym ludzkim świecie, jest w nim obecne także i po to, ażeby wyzwalać w człowieku miłość, ów właśnie bezinteresowny dar z własnego ja na rzecz innych ludzi, ludzi cierpiących. Świat ludzkiego cierpienia przyzywa niejako bez przestanku inny świat: świat ludzkiej miłości – i tę bezinteresowną miłość, jaka budzi się w jego sercu i uczynkach, człowiek niejako zawdzięcza cierpieniu” (VII, 29).

Streśćmy to: Człowiek cierpiący może być podmiotem ludzkiego miłosierdzia! Każdy się pod tym podpisze. Każdy to uzna. Tyle, że mieści się w tym, co powiedziano, raczej dyrektywa postępowania dla ludzi zdrowych. Postępowania godnego szacunku. Dyrektywa nadająca sens działaniu. Ale to nie jest to samo co sens cierpienia. Odpowiedź na pytanie, dlaczego cierpię, jaki jest sens tego, co przeżywam, nie może być tożsama z odpowiedzią na pytanie, jak pomagać innym. Nie ma więc i zapewne być nie może w tych słowach Papieża odpowiedzi na pytanie o świecki sens cierpienia.

Kłopot największy jest z tym, że ilekroć podejmujemy rozważania, których celem byłoby ujęcie w czysto świeckich kategoriach sprawy sensu cierpienia, zawsze napotykamy tę samą trudność, zawsze dochodzimy do konkluzji, iż znacznie łatwiej jest sformułować mądrze i szlachetnie brzmiący zestaw nakazów niesienia pomocy innym, niż zestaw zaleceń dotyczących samego znoszenia cierpienia. Przypuszczam, że Kościół najuboższych jest skazany pod tym względem na pewną jałowość. Nie ma w nim bowiem ciepła osobowego Boga, jakim jest dla wierzących Chrystus.

Wyznawcy tego Kościoła mogą się właściwie w ostatecznej instancji odwoływać tylko do bardzo trudnego do wyrażenia i trudnego do uznania za skutecznie pocieszające pojęcia niezamienności. Cienkie to jak pajęczyna, ale jak mówiłem, moje myśli krążą głównie wokół Kościoła najuboższych. Tylko wiara jest potęgą przenoszącą góry. U ludzi bez wiary i nadziei wszystko musi być kruche, wiotkie, jakby z mgły utkane. Są oczywiście w potocznym obiegu piękne słowa-hasła o godności ludzkiej, o męstwie, ale ich skuteczność w kojeniu bólu jest dosyć mierna.

Moim radiowym słuchaczom mówiłem kiedyś tak: „W świeckim ujęciu najwyższy sens ludzkiego cierpienia możemy rozpatrywać jedynie w obrębie Doli Człowieczej. Pojmuję cierpienie jako jedno z naturalnych przeznaczeń ludzkiej egzystencji, obok przeznaczenia do miłości bliźniego, do odczuwania szczęścia, do rozmnażania się, do pracy, wreszcie do radości

istnienia wśród przeważającej w kosmosie, przerażającej martwoty nieożywionej materii”.

„Świecki sens istnienia – mówiłem – jest zatem skromniejszy od chrześcijańskiego w dziedzinie motywacji, jego znaczenia nie da się wznieść na piedestał chrześcijańskiego pojęcia Odkupienia Ludzkości, ale to wcale nie umniejsza piękna laickiego sposobu znoszenia cierpień.

Można nawet zaryzykować sformułowanie stwierdzające, iż owo świeckie znoszenie cierpienia jest jakby odrobinę szlachetniejsze, czystsze, ponieważ istota porażona wielkim bólem, moralnym lub fizycznym, musi go znosić bez perspektywy odległej, lecz dla wierzących niezwykle realnej – nagrody w przyszłym życiu wiecznym, w rajskiej szczęśliwości obcowania z Bogiem. Krócej mówiąc: w cierpieniu laickim nie ma perspektywy innej nagrody niż wyniesienie przez dotkniętego bólem człowieka – możliwie najwyżej – godności człowieczeństwa, męstwa, odwagi. Nic więcej. Nic”.

Jeszcze lapidarniej rzecz ujmując mówiłem, że cierpienie niewierzących jest niezamiennie.

Zatrzymajmy się chwilę przy tej niezamienności. Co miałem wtedy na myśli, jakich rozważań częścią było to pojęcie? Szło mi o bezinteresowność poczynań ludzkich, o działanie i odczuwanie bez perspektywy nagrody wiecznej, ale dla samego piękna szlachetnych uczynków i uczuć. Od kilkudziesięciu lat odnoszę się z wielkim szacunkiem do systemu etyki niezależnej stworzonego przez profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Ludzie Kościoła nie lubili dawniej (i teraz często tę niechęć spotykam) i tego uczonego, i jego poglądów, gdyż wszystko, co mówił, miało dosyć nieznośne dla nas dzisiaj piętno dziewiętnastowiecznego ateizmu wojującego, stworzonego przez osobistych nieprzyjaciół Pana Boga, jak ich nazywano.

Chętnie traktowali oni religię i świat przeżyć religijnych jako zabobon i relikw starodawnej ciemnoty, jawne świadectwo trwającego zacofania pojęć. Jeśli się jednak zdejmie z myśli Kotarbińskiego nalot dziewiętnastowiecznego ateizmu prymitywnego (zresztą w później drukowanych pracach mocno wyciszony), to etyka spolegliwego opiekuństwa jest najwspanialszym, jaki znam, drogowskazem etycznym dla ludzi, którzy utracili wiarę, dla tych „moich” zatem, tych z Kościoła najuboższych, cierpiących bez wiary i nadziei.

Co jest istotą myśli Kotarbińskiego? Niezależność od motywacji religijnych. Tak to było pierwotnie formułowane, przez autora, gdy służyło jako oręż ateizmu. Ja jednak dostrzegam dzisiaj tam coś zupełnie innego, znacznie większego: bezinteresowność poczynań. Nakaz działania bez perspektywy nagrody za wyrządzone innym dobro, wyrządzone dla samego piękna takiego postępowania, a nie za „cenę”, za zapłatę zbawieniem. W tym rozumieniu nazwałem to niezamiennością poczynań, a także niezamiennością cierpienia.

Etyka bezinteresowna – choć ta nazwa ciągle smakuje owym wojującym ateizmem – ma na celu wyniesienie do godności najwyższego dobra społeclegliwość wobec innych nawet w impecie walki. Ani jednego ciosu ponad bojową konieczność – nauczał Kotarbiński.

Dziś nie mówiłbym zapewne ludziom cierpiącym tego, co mówiłem przez radio w roku 1981. Nie dlatego bym zwątpił w etyczną zasadę bezinteresowności poczynań ludzkich, ale z powodu poczucia pewnej bezużyteczności owych pięknych słów w zetknięciu z lękiem, jaki towarzyszy zazwyczaj cierpieniom. Częstkę tych lat, jakie minęły od roku 1981, nie mała, bo wynoszącą prawie rok, spędziłem w więzieniu i ten pobyt przypomni mi, co to jest prawdziwy strach, prawdziwy ból fizyczny, i co to lęk o najbliższych, pod adresem których trzeba wysłuchiwać pogroźek. Najszlachetniejsze i najpoprawniej sformułowane konstrukcje etyczne nie przynoszą niestety ulgi znękanemu więźniowi. Podobnie jest z cierpiącym w szpitalu. Pomaga natomiast modlitwa, nawet nie za siebie, za bliskich i o bliskich. Kościół najuboższych doznaje w takich tragicznych chwilach porażenia pustką, jak każda świątynia bez wiary. Iluż bowiem ludzi stać na heroizm czystej, bezinteresownej niezamienności etycznej. Zaczyna się wtedy na ogół to, co ludowe przysłowie przygwoźdża słowami: „jak trwoga to do Boga”.

To oczywiście nie znaczy, że Kościół najuboższych pustoszeje w chwilach trwogi całkowicie. Zawsze, nawet w najgorszych opresjach, pozostają w nim wytrwali, ufni swym szlachetnym racjom, nakazom godnego postępowania dla samego pięknego obyczaju.

Warto jednak pamiętać, że ci niezłomni pozostają często w tym Kościele najuboższych jako istoty bardzo nieszczęśliwe. Bo nie wierzyć jest czasem trudniej niż wierzyć, szczególnie gdy cała narodowa tradycja i wychowanie w dzieciństwie, a także wielki, narastający lęk współczesnego człowieka przed tym, co mu niesie cywilizacja, pchają do bezpiecznej przystani wiary.

Wielki współczesny powrót do religii, do Kościoła, do różnych zresztą Kościołów, nawet do tych obcych naszej kulturze, przyniesionych z innych obszarów geograficznych, to przede wszystkim powrót do owej bezpiecznej przystani wiary.

Od pewnego czasu, niezbyt długiego, czuję się niepewnie na ulicach mego miasta. Niechętnie jeżdżę autobusem, niechętnie wchodzę do sklepów czy kawiarni. Nie z powodu wrogości, jaka mnie mogłaby spotkać, lecz przeciwnie, za sprawą wylewnej serdeczności, z jaką jestem traktowany i obsypywany gorącymi słowami podziękowań. Peszy mnie to. Spotyka niezasłużenie. Nie umiem się z tym oswoić. Przez przypadkowy zbieg okoliczności zdarzyło mi się zająć widoczne miejsce w przedziwnym zjawisku społecznym, jakim się stała „Telewizja nocą”, program poświęcony nieszczęściom i rozterkom współczesnych. Zespół, w którym pracuję, doprowa-

dził do tego, że trzy razy w miesiącu przeszło połowa dorosłej społeczności Polaków siedzi blisko godzinę przed domowymi ekranami, by uczestniczyć w wielkiej debacie o moralnych powinnościach człowieka. Bo w istocie tym się zajmujemy. Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa, ale sam fakt, iż to się w ogóle zdarzyło, jest pouczający. Ludzie chcą słuchać tego, co mówimy. A co mówimy? Dokładnie to, co zostało zapisane w prastarej *Księdze umarłych*, z czego należało się rozliczać na sądzie Ozyrysa, co zostało zapisane w Dekalogu, co głosili filozofowie greccy. Po kilkudziesięciu latach atakowania starych norm moralnych z różnych stron, nie tylko politycznych, okazało się nagle, że naród interesuje się etyką. Nasze nawoływanie do prawości postępowania wyrażane w kategoriach pojęć prawnych, brzmiących zdecydowanie świecko, jest chętnie słuchane. To, co robimy, akceptują liczni księża, nieraz wysoko w hierarchii kościelnej postawieni. Z podobnym przyjęciem spotykają się moje „Rozmowy o cierpieniu” – program bardziej elitarny, którego jestem jedynym autorem. Inteligenci – tak jeszcze do niedawna akceptujący masowo pojęcia i zasady etyki relatywistycznej – z wielką chęcią słuchają teraz przypominania owych niezmiennych, takich samych od tysięcy lat, zasad etyki rodem z *Księgi umarłych* i z góry Synaj.

Jeśli to, co przed chwilą napisałem, jest prawdziwe, to trzeba zdjąć możliwie szybko z drzwi mojego Kościoła najuboższych etykietkę „wstrętnego” ateizmu.

Powodzenie moich programów telewizyjnych przyniosło klęskę moim planom pisarskim. Jestem już starym człowiekiem. Powiniennem zacząć sprzątać moje biurko i wykończyć zaczęte książki. Jakże to jednak zrobić, gdy kilka dni temu sekretarki zwały nam na redakcyjny stół dwa tysiące listów, właśnie przyniesionych z poczty. Część tych listów będę musiał przeczytać, bo mogą się tam trafić wołania o pomoc z Kościoła najuboższych.

Poetka, Helena Komorowska, ofiarowała mi ongiś nowy tom swoich wierszy. Otwiera go modlitwa. Zapamiętałem takie zdanie: „Abym nie wychodził zbyt pośpiesznie z domu starych ludzi”. Trawestuję je na własny użytek: Abym zbyt pośpiesznie nie opuścił Kościoła najuboższych.